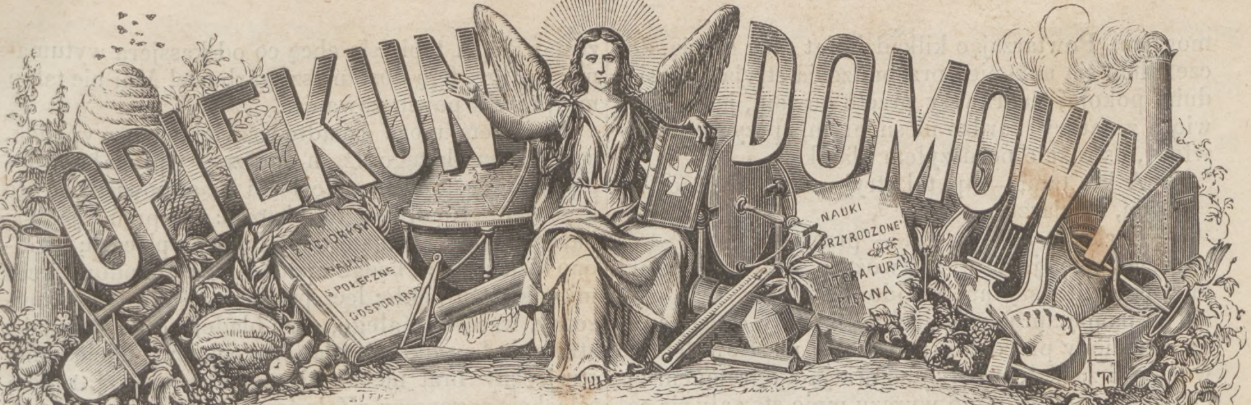


Warszawa dnia 21 Grudnia / 2 Stycznia $186^{6}/_{7}$ roku.

Nr 1. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.







NA NOWY-ROK 1867.

Do Czytelników.

Rok ubiegł... błyska era nowa,
A nam przychodzi trzeci raz
Łamać się z wami chlebem słowa,
Życzeniem szczerem witać was;
W serdecznem waszem stanąć gronie,
Przestąpić skromnych siedzib próg,
Uścisnąć czyste, dzielne dłonie,
Współczucie czerpać w waszem łonie,
I do serc waszych szukać dróg.

W ten nowy okres wchodzim śmiało,
I iść będziemy jako wprzód,
W górę chorągiew wznosząc białą,
Chorągiew zgody, pracy, cnót;
Przed ciężkim znojem skłonim głowy,
Zasługom cichym złożym cześć,
A gdzie nas przyjmą w próg domowy,
Życzliwe słowo, pokarm zdrowy,
Naukę—pokój będziem nieść.

Więc nam witajcie bratnio ludzie,
Dla których godłem trud i czyn,
Wy których skroń w codziennym trudzie
Zlewa szlachetny znoju płyn.
Błogo nam będzie w waszem kole
Radość i boleść wspólnie czuć,
Podzielać dobrą i złą dolę,
Uprawiać jedną, własną rolę,
Jedne nadzieje razem snuć.

Do plonów tylko trud prowadzi,
Więc rzeszo pracy w trudzie trwaj,
A Bóg poszczęści swéj czeladzi,
Za znoje wdzięcznym będzie kraj.

I ten rok nowy co dziś wschodzi
Da za trud każdy, setny plon,
Posępne czoła rozpogodzi,
Powróci straty, ból osłodzi,
Uderzy w szczęścia srebrny dzwon.

Niosąc wam życzeń wiązkę małą,
My dziś i sobie życzym wraz,
By słowo nasze nam jednało
Przyjaciół licznych wpośród was.
Niech nam otworzy serce wasze,
Niechaj z łatwością trafi doń,
Do biednéj chatki, na poddasze...
Niech wszędzie po to pismo nasze
Napracowana sięga dłoń.

Wołody Skiba.

SUKCESSOROWIE,

Opowiadanie garbuska,

PRZEZ

Autora Kłopotów Starego Komendanta.

W dniu 19 Marca wstałem bardzo rano. Był to dzień imienin stryja kassjera, mojego opiekuna i dobroczyńcy. Oczyściwszy najskrupulatniéj swoje biedne ubranie, wydobyłem ze skrzynki arkusz papieru, na którym moją własną ręką wyrysowana była gerlanda z kwiatów starannie wykolorowanych, a w środku drukowanemi przezemnie literami, umieszczone sążniste powinszowanie na jakie zdobyć się

mogłem. Powtarzając kilkadziesiąt razy oracją, doczekałem się nakoniec przebudzenia stryja w sąsiednim pokoju; nabrawszy przeto odwagi, jestem bowiem z natury bardzo nieśmiałym, przyczesawszy włosy, ostrożnie poruszyłem klamką.

— A kto tam?—zapytał stryj mocno kaszląc.

— Ja, stryjaszku...

— Berku! — otwórz mu — przemówił stryj — co bardziéj mię jeszcze zatrwożyło, gdyż pachciarz miejscowy już się tam znajdował.

Nie pamiętam jak znalazłem się cały drżący i zaczerwieniony przed łóżkiem stryja; pocałowałem go w rękę i zacząłem bełkotać oracją z ogromném biciem serca, od którego wyrazy moje stawały się coraz niezrozumialszemi. Przy drzwiach stał Berek z miną tryumfującą; kiwał głową, przechodził z nogi na nogę i szeptał ustami jakby mi chciał podpowiadać. Pamiętam, było w tém powinszowaniu wyrażenie o jutrzence i to z porady Berka, który o wszystkiém wiedział, a nawet świecy mi pożyczył do téj pracy; więc mówię: „niech każda jutrzenka rano wschodzącego słońca będzie dla ciebie kochany stryju zwiastunem nowego szczęścia...” W tém drzwi się otwiérają z drugiéj strony i wpada zarumieniona od gniewu pani Pelagia, siostra stryjeczna mojego opiekuna, a zarazem gospodyni Zielonki.

— Co on plecie o jutrzence?—spytała podstępując bliżéj ku łóżku, w którém spoczywał pan Józef.

Zaląkłem się i daléj ani słowa...

Więc pan Józef chcąc wyprowadzić mię z kłopotu, przyciągnął za rękę do łóżka i serdecznie ucałował w głowę.

— Któż ci to Wawrzusiu pomalował?

— Ja sam, kochany stryju.

— Bój się Boga, a gdzież to i kiedy?

— Rankami i wieczorami kiedy stryjaszek już spał, odpowiadam trochę ośmielony.

— A to też i świece tak prędko wychodzą —wtrąciła pani Pelagja.

— Z przeproszeniem pani — wtrąca Berek — on nie brał na to świecy, na co jemu?

— Ot widzisz go, więc po ciemku bazgrał?

— Nie po ciemku, na co on to miał robić, kiedy ja jemu dał dwie stearynowe; ale nie żałuję, bo on tak pięknie pomalował, tak jaśnie pana kassjera ucieszył... niech mu będzie na zdrowie...

Pani Pelagja zagryzła wargi, spojrzała na mnie oczami bazyliszka, że aż mię mrowie przeszło i wybiegła z pokoju.

Stryj wszystko przeczytał, położył na stoliczku, a mnie jeszcze raz ucałował.

— Dobre z ciebie dziecko mój Wawrzusiu, ty jeden najlepiéj o mnie pamiętałeś, choć mospanie ja o tobie najmniéj; tak prawda najmniéj, a tylu jest innych którzyby powinni o mnie pamiętać—i mówiąc ten wyraz *powinni*, spojrzał na Berka. Dziękuję ci tedy — idź, masz dzisiaj święto i kochaj mnie zawsze Wawrzusiu, tyś dobry chłopiec.

Ledwiem próg przestąpił, sypnęły się gradem wymysły i szturchańce ciotki Pelagji: a ty garbusie jezuito, a ty łakomcze, niedźwiedziu i t. p. patrzcie go, wśliznąć się chcesz do łaski kassjera, hę?—pocichu milczkiem—malować, łgać o jutrzence, hę? poczekaj ja ci to odpłacę....

— Proszę stryjenki cóż w tem złego, ja zawsze ojcu winszowałem na imieniny i myślałem....

— Co ty myślałeś, hę?... cóż to stryj może taki głupiec jak twój ojciec, co cię niedołęgo bez grosza zostawił? A tobie się chcę co od kassjera wytumanić?—Figę, figę dostaniesz garbusie! Moi nie takie mu przyślą powinszowanie...

Opisałem może zanadto rozwlekle ten wypadek, a zrobiłem dla tego, iż on znacznie wpłynął na polepszenie mego losu. Ale też i czas powiedzieć kto ja jestem. Niedługa to historja: najprzód jak się każden domyślił, mam duży garb na plecach; podobno dziecięciem będąc upadłem ze schodów i coś mi w krzyżu pękło; lecz przytém jestem bardzo mizerny, wzrostu małego, cery bladéj i o ile się zdaje, strasznie brzydki. Cóż ja temu winien? Ojciec mój stryjeczny brat nieboszki pani kassierowéj, rodem szlachcic zagonowy z Zalesia w Podlaskiém, był woźnym przy jednem z biór w Warszawie. Matki prawie niepamiętam, ojciec przed rokiem umarł na suchoty.—Zaszkodziła mu robota atramentu, dla szczupłéj bowiem płacy, zajmował się tą fabrykacją: ślęczał po nocach, gotował cedził, a gdy umarł, urzędnicy z tego bióra złożyli się na pogrzeb, a mnie wypytawszy zkąd ojciec pochodził; odesłali najętą przez siebie furmanką do Zalesia, do rodzonéj siostry méj matki.

Ciotka przyjęła mię bardzo obojętnie: był to drogi rok, kartofle się nieurodziły, miała i swych dzieci kilkoro, fortunka nie wielka, a mąż handlował wieprzami i przepijał zawsze cały zarobek.—Wzięła mię, bo cóż miała ze mną robić. Lecz byłem jéj nie na rękę, garbaty, dychawiczny, jak mówiła na wsi taki sprzęt tylko zawadza: póki nie wyszły pieniądze, które przywiozłem za sprzedane ruchomości po ojcu, wuj Ignacy znosił mię jako tako; lecz handel wieprzami źle szedł, moje dwieście złotych stopniały, a ja zostałem na łasce. Przyzwyczajony do innego życia w Warszawie, ojciec bowiem nic robić nie pozwolił, a tylko posyłając do szkoły kazał się uczyć, tu odrazu musiałem się wziąść do grubych robót gospodarskich. Trzeba było i o bydle pamiętać, urąbać drzewa, często pędzić wieprze na targ do miasteczka przykrzéj przychodziło; wolałem już grabić siano. Niemiałem siły do takiéj pracy, choć dziewiętnaście lat skończyłem; lecz trudno też i siedzieć na łasce cudzéj z założonemi rękami. Tak przeszło lato: panowie bracia nieraz spoglądając na mnie litowali się, kobiéty miały z tego powód do kłótni z ciotką, wyrzucając jéj złe obchodzenie się ze mną, a wszystko skrupiało się na biednym obdartym garbusku, który był bardzo szczęśliwy, gdy dostawszy trochę kartofli na wieczerzę, aby mógł wcisnąć się za piec i wygrzać ziębnięte członki.

Pewnego dnia przed Bożem Narodzeniem, ciotka ściągnąwszy z jednego z synów swoich wyszarzany mundur woźnego po moim ojcu pozostały, włożyła na mnie i kazała pójść za sobą. Przeziębły, brudny, rozczuchrany, stawiłem się we dworze pana Józefa Podlewskiego kassjera, właściciela wioski Zielonką zwanéj. Weszliśmy do kuchni: ciotka poszła do przyległego alkierza i wkrótce wróciła w towarzystwie wysokiéj Pani, którą ciotka nieustannie smoktała po ręku.

— To ten?—spytała pani Pelagja, oglądając mię od stóp do głów, ależ to dziwoląg nie człowiek!?

— Pocałuj że panią w rękę, przemówiła ciotka, popychając mię za plecy—to takie niezdarne moja pani, że aż strach... No czegóż się kulisz Wawrzku?

— Ależ moja kochana, co my tu z nim zrobiémy?

— Moja imość zlituj się, toć wam łatwiéj przy

wielkim dworze; nie wybredny to chłopaczyna, ot byle co to zjé, a my nie możemy... Mój teraz jeszcze gorzéj pije, w domu ciasno bo mamy jedną tylko izbę.

— Powiem kassjerowi....

— Ino imość zechcesz, to będzie dobrze; ja wiem że pani tu wszystko znaczy, zawszeć to krewniak.

— To też tych krewniaków już potąd mamy, a wszystko do pana kassjera, on teraz to prawie bez koszuli.

— Cóż robić, kiedy już taka biéda, lecz mnie też imość choć tém poratujcie.

— A umiesz co Wawrzeniec? spytała pani Pelagja.

— Umiem czytać i pisać nie źle.

— Hm, to nie na wieś... zobaczę ot i pan kassjer wraca z gorzelni, żeby to choć zdrowe było, ale taki cherlak...

Wszedł kassjer, człowiek może 60-cio-letni, średniego wzrostu i dziwna rzecz, nadzwyczaj do ojca nieboszczyka podobny. Pani Pelagja opowiedziała prośbę ciotki aby mię wzięto do dworu, stryj widać że mocno był czemś zajęty, bo tylko spojrzał na mnie, machnął ręką i idąc daléj przez kuchnię powiedział:

— A wiąść, wziąść, toć się pożywi przecie, a obejrzawszy się jeszcze raz, dodał: Cóżeście go tak dziwacznie ubrali? po kimże to?

— Po Onufrym z Warszawy....

— Hm po Onufrym; a prawda toż jego mundur z zielonym kołnierzem.

— Pisze dobrze i czyta, dodała ciotka.

— To dobrze, dobrze—dajcie mu jeść... a ty Zaleska powiedz mężowi, niech mi drzewa nie kradnie w lesie i nie wozi żydom do Węgrowa, bo choć krewniak mospanie, oddam do Sądu!

— Eh to tylko gadanie wielmożny kasjerze; Kacper gajowy ma złość do niego i szczeka nie przymierzając przed wielmożnym kassjerem...

— Już ja wiem pewno... z was to dziurawe worki mospanie, niedość że daję co mogę, to jeszcze szczypiecie na wszystkie strony... pamiętaj powiedz mu co mówię...

Otóż w ten sposób dostałem się do stryja kassyera w Zielonce, czas więc powiedzieć nieco o jego osobie. Był to jak napisałem nie młody człowiek, bo już emeryt, wdowiec bezdzietny, człowiek nadzwyczaj łagodnego charakteru, litościwy, dobry, lubiący spokój w domu, trochę nudziarz i zanadto w drobnostkach skrupulatny—co da się usprawiedliwić wiekiem już podeszłym, dawnym zajęciem kassjera i samotnością na wsi. Nie wszedł nikomu w drogę, ale nie lubił żeby i jemu wchodzono. Kupił ową wioskę z oszczędzonych funduszów i to kupił wśród drobnéj szlachty, pośród któréj się urodził i wychował, gdzie wszyscy prawie byli jego krewnymi lub powinowatymi, z tytułu których mieszkała u niego pani Pelagja wdowa po jakimś rządcy dóbr, obarczona siedmiorgiem drobnych i starszych dzieci, które pan kassjer swym kosztem wychował, wyposażał i wspomagał.

Pani Pelagja dobrą była kobiétą, tylko poznawszy charakter kasjera opanowała go zupełnie, a że on nielubił swarów i ona mu była potrzebną, dla miłego spokoju znosił wszystko cierpliwie, dawał, płacił posyłał według żądania pani siostry. I choć wioska ładne przynosiła dochody, choć kilka tysięcy pobierał emerytury, wszystko to ginęło w przepaści potrzeb familji téj pani, i bardzo często kassjerowi zbywało na koniecznych potrzebach. Synowie i córki pani uważali się za paniczów; nadzieja sukcessji wyrabiała różne żądania i zbytki, a oswojeni z tém, że kassjer oddawał wszystko, uważali to więcéj za obowiązek z jego strony, niż za dobrodziejstwo. Widział to pan Józef i bolał nad tém pocichu, a niekiedy tylko wygadał się przed Berkiem, ulubionym swym pachciarzem. Berek znów jakkolwiek ani krewny ani nawet współwyznawca kassjera nie korzystał z jego względów, owszem kochał go bardzo i nie pozwolił w niczém ukrzywdzić.

Pani Pelagja, kobiéta z prostego stanu, miała wszelkie zalety i wady drobnéj szlachty: widząc się konieczną kassjerowi, który nie potrafił się obejść bez troskliwéj domowéj opieki, całą uwagę swoją zwróciła na odpychanie od serca kassjera wszystkich krewniaków, którzyby jéj w spodziewanéj sukcessji przeszkadzać mogli. Moje zaś przyjęcie było skutkiem tego, że ciotka nie do kassjera, ale do niéj z prośbą się udała. Uważała mnie i to słusznie, za tak małoznaczącą osóbkę, na którą nie zwraca się uwagi. Dano mi kącik obok kancellarji stryjaszka, stare jego ubranie i nieco bielizny; obiad jadałem z gorzelanym; darłem pierze wieczorami, a w dzień posyłano mię do stodoły dla dozoru przy sprzęcie zboża.

Stryj Józef obchodził się ze mną bardzo obojętnie, tak że nieraz pomyślałem sobie, iż to musi być bardzo zimny człowiek, którego interesa osobiste obchodzą. Kiedy zobaczył na mnie już bardzo zniszczone ubranie, wspomniał pachciarzowi, aby za bytnością w Warszawie kupił jaki stary na Franciszkańskiéj ulicy surducik lub inną część ubrania; miejscowy szewc łatał buty, a o bieliznie pamiętała pani Pelagja, u któréj z powodu nieograniczonego posłuszeństwa byłem w niejakich łaskach.

Otóż takie było położenie moje w domu kassjera do dnia 19 Marca i do sceny na początku opisanéj; od téj bowiem chwili zaczął mi się stryj baczniéj przypatrywać, a w stodole gdzie niebyło pani Pelagji wszczynał rozmowy, dopytując się o całą przeszłość moją.

— To ty sieroto nie znałeś matki?— mówił ze łzą w oku, a dobre z ciebie dziecko wyrosło.... I ładnie piszesz Wawrzusiu; dobrze że wiem, będziesz mi pisywał rachunki, to siedząc w pokoju nie narazisz zdrowia swego, jak to bywa na cugu w stodole.

I od tego czasu prowadziłem rachunki w pokoju stryja, ale też zaczęły się od téj pory prześladowania pani Pelagji. Nie mogła mi darować owego powinszowania w dniu imienin tem więcéj, że żaden z jéj synów których stryj w szkołach utrzymywał, na to się nie zdobył.

Nie rozumiejąc tego podówczas, martwiłem się niełaską pani Pelagji tem bardziéj, gdy nieraz powstały gwałtowne sprzeczki o mnie ze stryjem.

Raz przyszło do tego, że pani Pelagja krzyknęła.

— Wybieraj kassjerze!—ja, albo garbusek?

— Co on ci zawadza Pelasiu, toż takie nieszczęśliwe, moja kochana jak możesz mi robić podobnego rodzaju porównania. Co ty, to nie Wawrzuś; bój się Boga, toć trzeba miéć litość nad biednemi, sama jesteś matką....

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Stosunek czeladzi rzemieślniczej do majstrów w Galicyi.

Pomimo ustawy o wolności pracy i zarobkowania, w Austryi od roku 1860 zaprowadzonego, utrzymują się dotąd w rzemiosłach po większéj części stosunki odwiecznemi prawami, a raczéj zwyczajami cechów ustalone. Młodzież udaje się do rzemiosł w bardzo młodym wieku, zwykle od 10 do 12 lub 13 lat, rozpoczynając zawód swój jako uczeń, czyli terminator lub chłopiec. Nauka trwa od trzech do pięciu lat, według umowy z rodzicami lub opiekunami młodzieńca. W czasie nauki majster zastępuje miejsce ojca lub opiekuna uczniowi, który winien mu wszelkie posłuszeństwo, tak co do rzeczy do rzemiosła należących, jak i co do sprawowania się w ogóle. Uczniowie mają obowiązek uczęszczania do szkoły niedzielnéj, w któréj prócz nauki religji, ćwiczą się w czytaniu i pisaniu—oraz w naukach w szkołach początkowych udzielanych. Do usług domowych uczeń prawnie nie jest obowiązany, i majster używać go do nich nie powinien. Lecz ponieważ do rzemiosł udaje się prawie wyłącznie młodzież najuboższa, któréj rodzice lub opiekunowie nie są w stanie wynagrodzenia majstra pieniężnie za udzielaną naukę, nadto ponieważ majster częstokroć obowiązany jest sprawiać uczniowi odzież własnym kosztem, przeto zdarza się, że majstrowie terminatorów swych czyli chłopców, do różnych posług domowych, do niańczenia dzieci i t. p. używają, od czego uczeń zupełnie na łasce majstra będący, wymówić się nie może.

Spory między uczniami a majstrem a raczéj zażalenia ucznia na majstra, rostrzygają zwykle starsi cechowi, z odwołaniem się do władzy policyjnéj na przypadek, gdyby majster nie ludzkiém obchodzeniem się, ucznia na zdrowiu uszkodził. Umowa o wyterminowanie czyli odbycie nauki, rozwiązuje się bądź nieposłuszeństwem i nie dobrem sprawowaniem sie ucznia, bądź złem obchodzeniem się majstra, z uczniem. Wówczas uczeń przenosi się do innego majstra który mu liczy w lata nauki, termin już u poprzedniego majstra odbyty. To rzadko się jednak zdarza; najczęściej młodzieniec widząc niepowodzenie swoje w nauce, do innego się zawodu udaje.

Po odbytéj szczęśliwie nauce czyli po tak zwaném wyterminowaniu, majster ucznia swego wyzwala, wpisuje go w poczet czeladzi, których świeżo wyzwolony terminator uczęstować, oraz pewną składkę do kasy wspólnéj wnieść powinien. Wyzwoliny takowe kosztują zwykle od 6 do 9 rsr. Że zaś nowy czeladnik summy téj zwykle nie posiada, przeto swoje czeladnicze zajęcia częstokroć rozpoczynać musi od zaciągnięcia pożyczki u żyda, którą późniéj spłaca ratami, z ogromną lichwą sto od sta rocznie wynoszącą.

Uczeń czyli terminator wyzwolić się nie może, jeżeli się nie wykaże, że do szkoły niedzielnéj pilnie nieuczęszczał. Warunku tego w nowszych czasach pilnie przestrzegają, czuwa nad jego wykonaniem komisarz ze strony urzędu gminnego do każdego cechu delegowany. Dawniéj zdarzało się bardzo często, iż nie tylko czeladnik ale nawet i majster sam pisać i czytać nie umieli.

Nowy czeladnik, pracuje zwykle przez pierwsze trzy miesiące od daty wyzwolenia u majstra, u którego wyterminował. Stosunek jego do majstra zależy teraz od wspólnéj umowy. Tam gdzie robota nie płaci się od sztuki lecz tygodniowo od ogółu pracy, majster daje czeladnikowi prócz wiktu i stancyi pewną płacę, która podług umowy i zdatności czeladnika, tudzież według rodzaju rzemiosła, wynosi od 60 kop. do 2 rsr 25 kop. na tydzień, a czasem i więcéj, zwłaszcza u kowali, ślusarzy, blacharzy, w ogóle u rzemieślników w ogniu pracujących. U szewców i krawców którzy w Galicyi trzy czwarte części rzemieślników stanowią, płacą czeladnika zwykle od sztuki, w którym to razie czeladnik prócz płacy umówionéj, nic już od majstra nie pobiera.

Czeladnik nowo wyzwolony dostaje z cechu list wyzwolenia, tak zwany Lehrbrief oraz książeczkę roboczą, w którą każdy majster obowiązany jest wpisać czas, jaki czeladnik u niego przebył.

Czeladnik obowiązany jest być majstrom posłusznym we wszystkiém co się do rzemiosła odnosi. Robotę winien wykonywać według polecenia majstra. Spory z powodu źle wykonanéj roboty rostrzyga sąd cechowy, do którego wchodzi i czeladź, a raczéj jéj delegowani.

Umowa między czeladniem a majstrem, rozwiązuje się za wzajemném z każdéj strony jednotygodniowém wypowiedzeniem. Jeżeli czeladnik zaciągał dług jaki u majstra, w takim razie majster zatrzymuje u siebie książeczkę roboczą, którą zwykle wykupuje majster, do którego się czeladnik na robotę przenosi.

Prawo o wolności przemysłu i zarobkowania, stawia stosunki między uczniem i czeladnikiem a majstrem czyli przedsiębiorcą rzemiosła pod strażą pospolitych ustaw krajowych. Według tego prawa zniesione są przywileje cechowe, o tyle iż każdy obywatel kraju, bez różnicy wyznania, wykonywać może wszelkie rzemiosło bez zezwolenia cechu, bez zostania majstrem i robienia tak zwanego majstersztyku, zgoła bez żadnéj zkądkolwiekbądź koncesji, za prostem tylko doniesieniem do władzy gminnéj iż warsztat zakłada i podatek na niego, jako na samodzielnego rzemieślnika przypadający, opłacać będzie. Przy złożeniu takowéj deklaracji, składający ją dołącza stempel zwyczajny w wysokości od 2 do 6 talarów. Stempel oblicza się według tego, czyli rzemiosło będzie w mieście stołeczném, obwodowem lub innem. Cechy utrzymane są tylko jako stowarzyszenia bez zbiorowego monopolu, do których przystąpić mogą ci, co za obrębem cechu rzemiosło jakie wykonywają. *Leon Bochenek.*

ŻUBR.

Pełne krasy i powagi są puszcze Zachodnich gub. jak je nieśmiertelny wieszcz nasz opiewa. Tam wieńce dzikiego chmielu oplatają czeremchę; rumienią się jarzębiny; leszczyna ubrana w grona orzechowych pereł, podnosi zielone swe berła; głóg kryje się w objęciu kalin, ożyna czarnemi usty daje bratni pocałunek malinom, a pośród grona téj dziatwy leśnéj, stoi wysmukła biała brzoza z małżonkiem swym grabem; dąb zaś mchami brodaty, dźwigając kilka wieków na karku, wspina się na połamanych szczątkach swych przodków. Ale te lasy nieprzejrzane niegdyś, kryjące w tajemniejszych ostępach swoich gniazda i smętarze licznego zwierza, ręka człowieka coraz przerzedza i niszczy. Przed laty, za świadectwem Miechowity i Starowolskiego, w Litwie napotykać można było lasy ciągnące się bez przerwy mil 15 i więcéj, a cała przestrzeń między Wilnem i Połockiem, jak mówi Herberstein, zalegała puszcza na mil 50. Dziś, pomimo tego, że lasy litewskie zajmują jeszcze przeszło 9 miljonów morgów—przedzielone są wszędzie licznemi osadami i polami, nigdzie już jednostajnego ciągu puszcz, na mil kilkanaście znaleść nie można. Tylko puszcza Białowiezska w gub. Grodzieńskiéj, pow. prużańskim położona, mil przeszło 7 wdłuż, a 6 wszerz się rozciąga. Tamto znalazły gościnny przytułek Żubry czyli Tury, niegdyś swobodnie licznemi stadami w lasach Hercynji, Pruss, Litwy i Mazowsza mieszkające; urzędowe bowiem lustracje b. województwa Rawskiego świadczą, że w r. 1561 w puszczy Jaksurowskiéj chowały się Tury; Rzączyński w 1721 r. wspomina, że się znajdowały niedaleko

Warszawy w lasach sochaczewskich i garwolińskich. O mieszkaniu ich na Wołyniu i na Polesiu Ukraińskiém, mamy wzmianki w kronikach, a pomnikami ich kiedyś w tych stronach istnienia są nazwy niektórych miejscowości, jak np. Turzyska i rzeka Turja, w pow. Radomyślskim, gub. kijowskiéj. Dziś wyłącznem tych zwierząt mieszkaniem, jest wspomniona wyżéj puszcza Białowiezska, tudzież góry Kaukazu.

Żubry są to olbrzymy pomiędzy czworonożnemi zwierzętami Europy. Wzrost ich dochodzi 6 stóp wysokości, a 10 stóp długości, waga 16 centnarów. Dawniéj miały się natrafiać większe. Rzączyński podaje, że w r. 1395 Jan Zygmunt książe pruski ubił żubra długiego na $5^1/_4$ łokci, a ważącego 21 cent.—Postać ich przedstawia załączony rysunek a mianowicie wyobraża on rozjuszonego zwierza.

Odzież ich zmienia się stósownie do pory roku: latem bywa krótka, gładka, lśniąca, ciemno-brunatna; na zimę wyrasta dłuższa, wełnista, a na szyi i barkach jaśniejszą przybiéra barwę. Policzki, broda i długa kita ogona są prawie czarne, na czole włos kędzierzawy, piżmem woniejący. Źrenice oczu podłużnie w środku zwężone, dają zwierzęciu możność widzenia zarówno dobrze jak w dzień tak w nocy.

Pomimo swéj dzikości, Żubry na ludzi nienapadają chyba rozdrażnione, a w takim razie, za świadectwem Żyliberta dość jest upaść na ziemię i udać nieżywego, aby się ocalić. W czasie polowania oporu niestawią, owszem z wielkim pośpiechem szukają ratunku w ucieczce, porzucając nawet cielęta swoje. Chociaż nadzwyczaj silne, nie są jednak szczęśliwe w bitwach z wilkami, skoro bowiem kilku tych drapieżców Żubra obskoczy, zwykle pokonać go im się udaje. A jako Żubry boją się wilków, tak znów konie i bydło domowe mają do Żubra wstręt nieprzezwyciężony i skoro zdaleka go zwietrzą, tak wielki niepokój i przestrach je ogarnia, że na ziemię padają. Żubry z młodu chowane do ludzi przywykają. Żylibert w Grodnie miał Żubrzycę, którą od cielęcia do lat 3 pielęgnował; karmił ją grubo-zielonym gotowanym owsem, krowy bowiem ani kozy ssać niechciała, okazując ku bydłu domowemu nienawiść największą. Z czasem tak się oswoiła, że podawany w kapeluszu owies chętnie jadła, a dla doglądającego jéj 12 letniego chłopca uległość i przywiązanie okazywała; znała głos jego i na wezwanie przychodziła, ręce jego lizała, dozwalając się nawet brać za brodę i do stajni prowadzić. Widok jednak osób nieznanych, bardzo ją drażnił i do gniewu pobudzał; wówczas sierć najeżywszy, z nabiegłemi krwią oczami, rzucić się gotową była. Koloru czarnego znieść także nie mogła. Żylibert którego znała i lubiła, o mało nie uległ jéj natarciu, kiedy raz w chęci doświadczenia, czerwoną na siebie wziął odzież. Trzy lata karmiono ją owsem i sianem, większą jednak część jéj pokarmu stanowił owies; z siana bowiem, niektóre tylko ulubione sobie rośliny wybierała nietykając reszty. Latem, z powodu gorąca niewychodziła prawie ze stajni i bardzo rzadko na słońcu się kładła, zawsze cienia szukając. Napróżno starano się połączyć ją z bykiem domowym, pomimo objawiającego się w niéj popędu płciowego.

Pożywienie Żubrów w stanie swobody, składa się z traw, liści, latorośli i kory drzew, którą skrobiąc przedniemi zębami, prędko je sobie ścierają. Żubr rośnie lat 6, a żyje do 50.

Głos Żubra jest donośne ryczenie. Polowanie na Żubry dziś tylko za pozwoleniem Rządu odbywać się może.

Z powodu bardzo niewielkiéj liczby Żubrów, które troskliwie się pielęgnują i bez pozwolenia Najwyższéj władzy zabijane być niemogą, użytek z nich nader jest ograniczony. Mięso młodych jest smaczne i zdrowe, starych przytwarde. Skóry, acz bardzo grube, lecz rzadkie i gąbczaste tylko w rzemieniu kręconym na lejce, pasy i t. p. użyte być mogą. Dawniéj przypisywano pasom ze skóry żubrzéj piżmem woniejącéj zrobionych, własności lekarskie osobliwie dla niewiast; na paskach z téjże skóry pokrajanych, pisano pewne zgłoski i wyrazy i te paski zaszyte w inną skórę lub płótno, noszono na szyi jak amulety. I dziś jeszcze niektórzy włościanie litewscy dają je swym synom lub krewnym do wojska idącym; muszą być one bardzo dawnego pochodzenia. Rogów w srebro oprawnych, używano w czasie uczt myśliwskich w miejsce pucharów, robiono też z nich trąbki; w czasach przedchrześcijańskich służyły za naczynia ofiarne.

Gustaw Belke.

Domowy sposób robienia octu winnego

— Naczynie (baryłka lub faseczka) powinno być z drzewa dębowego, obwiedzione kilkoma obręczami kolorem czarnym pomalowanemi a to dla tego, żeby nie rdzewiały. Wielkość tego naczynia i jego wymiary zawisłemi są od ilości octu, jaką na raz otrzymać chcemy. Na domową potrzebę dość jest zastósować wymiary, naczynia tak, aby ono objąć mogło kwart 10. Sama postać naczynia winna się przedstawiać, aby było u góry szersze u dołu zaś węższe; zaopatrzone ono być ma kranem na dwa cale od dołu. W spodniéj części naczynia wewnątrz w odległości najmniéj czterech cali od dna, utwierdza się krzyż dębowy, którego ramiona powinny mieć szerokości $2^1/_2$ cali, grubość zaś takowych ramion, powinna być niewiększa nad cal jeden. Na takowym krzyżu umieszcza się szczelnie denko z drzewa dębowego gęsto dziurkowane.

W celu przygotowania przyrządu tego tak, aby on służył do wyrobu octu raz na zawsze, bierze się jedna kwarta octu prawdziwego winnego w zupełnie dobrym gatunku, który należy przegotować, a następnie w tymże occie wypłukać węgle kilkakrotnie, za każdym razem przegotowywając takowy. Węgle tak płukane, które koniecznie być powinny z drzewa bukowego i połupane w drobne kostki, wciągną w siebie mniéj więcéj trzy kwaterki octu, kwaterka więc pozostała odstawia się na bok. Na denko dziurkowane, o jakiém wyżéj mowa, kładą się strużyny i drobne wióry z drzewa bukowego, a na takowe umieszczają się przygotowane w powyższy sposób węgle. I to dopiéro owa pozostała kwaterka winnego octu, wléwa się do naczynia.

Przygotowany w ten sposób przyrząd, jak to już wyżéj powiedziano, służy do fabrykacji octu zwyczajnego raz na zawsze.

Przejdziemy teraz do ospisu szczegółowego fabrykacji octu doskonałego na użytek domowy. Otóż więc do naczynia półtrzecia garnca obejmującego, wléwa się 9 kwart wody zimnéj, a jedna kwarta dobréj okowity, następnie takowe naczynie nakrywa się grubem płótnem, na to zaś kładzie się pokrywa dziurkowata z drzewa dębowego, opatrzona u góry rękojeścią.

Naczynie rzeczone z pomienionym płynem powinno być umieszczone w ciepłém miejscu, sam zaś płyn dwa razy dziennie, to jest rano i wieczór przelewany być winien do oddzielnego naczynia, za pomocą urządzonego u dołu kranu.

Pierwszy raz przygotowany w powyższy sposób ocet, może być użytym po upływie tygodnia, jeżeli naczynie umieszczono w ciepłém miejscu; jeżeli zaś w zimném, to po upływie 2-ch tygodni.

W miarę im częściéj będzie przygotowywany ocet domowy i im bardziéj boki naczynia, oraz węgle i stróżyny bukowe przejmą się zapachem i tęgością winnego octu, którego kwartę wlano do naczynia, tem ocet domowy prędzéj, a nawet po trzech dniach może być gotowym do użycia.

Sposób jaki tu został opisany, jest istotnie poczerpnięty z praktyki, jaka ma miejsce w jednym z domów obywatelskich na prowincji. **L.**

RZECZY DOMOWEGO UŻYTKU.

Śmietanka zwarzona.

Jeżeli podejrzewamy mléko że może się zwarzyć, trzeba do naczynia w którém mamy je gotować wrzucić odrobinę natronu (*Natronlauge* inaczéj ług natronowy) kupiwszy w aptece pół łuta natronu, możem go mieć na 24 razy. W skwaśniałe mléko lub śmietankę puszcza się ostróżnie kroplami tyle natronu, aż mléko nabierze słodkiego smaku, który aby przyjemnieszym uczynić, dobrze jest dodać trochę cukru.

Plamy z owoców.

Weź we dwa palce szproszkowanéj siarki, na blachę połóż i zapal. Podczasz palenia się jéj ulatniają wapory, nad któremi trzymaj splamione płótno.

— Do tego Numeru **Opiekuna Domowego,** załączamy dla wszystkich prenumeratorów w Warszawie i na prowincji zamieszkałych: **„Kalendarz ścienny na rok 1867,”** zapowiadając i nadal dodatki, w obrazkach i rozmaitych podręcznikach, w domowych stosunkach praktyczną wartość mających.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *Pani, która się szaradą podpisała.* Pytasz nas Pani: czy chłop—wieśniak zakochać się może?... Za pozwoleniem Pani. Czy chłop ma serce? Ma. Czy sercem się kochać powinno?— Tak jest—Czy do zakochania się potrzeba wielkiego rozumu? —Nie.—Może bogactw i tytułów?—Nie.— Więc tylko serca?—Tak.— A chłop ma serce?—Ma.— Rzecz skończona, więcéj Pani nie powiemy.

—*Staréj gospodyni z pod Sochaczewa,* która z nas zażartować chciała pytając się naiwnie: jak poznać kiedy jajko zostało zniesione? odpowiadamy: Że podług zapewnienia kompetentnéj osoby, w tym celu zanuża się jajko w jakimkolwiek mocnym roztworze kwasu. Jeżeli jajko zniesione zostało tegoż samego dnia, to szybko opuści się na dno naczynia; jeżeli zniesione zastało dnia poprzedniego, opuszczać się będzie na dno powoli; zniesione zaś trzy dni temu, pływać będzie w roztworze; nareszcie zniesione dawniéj niż przed pięcioma dniami, pływać będzie po wierzchu;—słowem im jajko jest starsze, tém mniéj zanurza się w roztworze

ROZMAITOŚCI.

— *Szkoła rzemieślniczo-niedzielna* przy ulicy Jezuickiéj w Warszawie, obchodziła w drugiéj połowie Grudnia r. z. uroczystość zakończenia roku szkólnego 1866. Zawsze baczną zwracając uwagę na postępy ukształcenia młodego pokolenia rzemieślników naszych, z przyjemnością zapisujemy tu nazwiska uczniów, którzy za wzorowe sprawowanie się i usilną pilność w naukach otrzymali: nagrody, listy pochwalne i świadectwa z całkowitego ukończenia nauki: *a) Nagrody:* z klassy I-éj: Wajzler Franciszek, Gierczyński Szymon, Hołody Walenty; z klassy II-éj: Walkiewicz Aleksander, Oleszyński Aleksander, Czarnecki Stanisław, Szymański Polikarp; z klassy III-éj: Gotlieb Stanisław, Pflanz Samuel, Lange Hilary, Ruśkiewicz Jan; z klassy IV-éj: Okuliński Piotr, Chadziecki Konstanty, Lehr Karol, Modzelewski Stanisław, Hirschenfeld Józef; *b) Listy pochwalne:* z klassy I-éj: Dzierżanowski Zenon, Krupicki Franciszek, Skonieczny Feliks, Jasiński Antoni, Jesionowski Romuald; z klassy II-éj: Pęczkowski Feliks, Grodzki Franciszek, Skulski Teofil, Żerbe Ludwik, Wojtaszek Andrzéj, Cybulsku Stefan, Pieszczyk Konstanty, Zdanowski Władysław, Saleski Wiktor, Tabernacki Antoni i Guiter Jan; z klassy III-éj; Franaszczuk Karol, Cybulski Bolesław, Grafczyński Wincenty, Andrzejewski Jan i Szczepański Aleksander; z klassy IV-éj: Karczewski Stanisław; *c) Świadectwa całkowitego kursu nauk:* Chadziecki Konstanty, Hirschenfeld Józef, Karczewski Stanisław, Kuk Piotr, Lehr Karol, Lorentz Edward, Modzelewski Stanisław, Okuliński Piotr, Raut Seweryn i Różański Feliks.

— *Czyn szlachetny.* Miło nam powtórzyć tutaj słów kilka z *Kurjera Codziennego* o czynie szlachetnym, które dzisiaj tak są rzadkiemi, ale jakie najczęściéj jeszcze między ludem wierzącym prosto i kochającym prosto, zdarzać się zwykły[1]

„W ościanin wsi Kamienia nad Wisłą w Lubelskiém, nazwiskiem Franciszek Długosz, z narażeniem własnego życia na wielkie niebezpieczeństwo, wyratował tonących w czasie silnego wiatru i zamieci śnieżnéj w nocy dnia 4-go Grudnia r. z. trzech włościan mieszkańców tejże wsi, którzy puścili się wątłem czółnem na drugą stronę rzeki, a które będąc już zdala od lądu, silna zawieja przewróciła. Czyn ten szlachetności i odwagi, tembardziéj zasługuje na wspomnienie w niniejszéj kronice, że wzywani do ratunku inni mieszkańcy, odmówili pomocy.”

— *Kara Boska* (wypadek prawdziwy.) W tutejszym Domu Badań osadzony był Srul Nasielkowski, lat 30 kilka wieku mający, który kilkakrotnie karany, a więc niepoprawny złodziéj, ostatecznym wyrokiem skazany był na wysłanie do Syberji. Przed wykonaniem tego wyroku, powoływał on różne osoby, które w skutek tego były już aresztowane, już pociągane do tłumaczenia się. Przed kilkunastu dniami, po odbyciu naocznéj konfrontacji z dwiema powołanémi przez niego osobami, z których jedną żydówkę mieniąc swoją kochanką zachęcał, ażeby z nim razem udała się do Syberji, Nasielkowski odprowadzony został do więzienia. Przechodząc przez ogólną salę odezwał się do swoich współwięźniow: „Czuję, że mnie Bóg ciężko skarze że fałszywie obwiniałem różne osoby”. Doszedłszy do swojéj celi, stwierdzając niejako ostatnie swoje słowa, upadł, ażeby więcéj nie powstać. Dopełniona na jego zwłokach sekcja wykryła, że przyczyną jego gwałtownéj śmierci była apopleksja sercowa.

— *Księga Przyrody,* Dra Fr. Schoedlera, przetłumaczona przez Ciszewskiego, Wermińskiego, Berdau i Wałeckiego. Z całego serca polecamy to dzieło naszym czytelnikom, którzy prawdziwą, przystępną dla wszystkich poczerpnąć tu będą mogli naukę. Tłumacze i wydawcy prawdziwą przy-

sługę wyrządzili czytającéj publiczności, wydając w czasie powszechnéj księgarskiéj stagnacji tak ważne i pożyteczne dzieło, które w Niemczech kilkunastu doczekało się już edycji. Jak sam tytuł wskazuje, jest tu mowa o wszystkich zjawiskach świata: więc o Fizyce, o Astronomji, Chemji, Mineralogji, Geologji, Botanice i Zoologji. Zwięzły i jasny wykład, tém przystępniejszy jest dla najmniéj nawet obeznanych z naukami czytelników, że 976 drzeworytów, kilka mapp i tablic, zdobi tę prawdziwie piękną publikację. Nie tylko młodzież, ale i ludzie wszelkim zawodom oddani, wielką z dzieła tego korzyść odnieść mogą. W obecnych bowiem czasach, nauki przyrodnicze tak ogólny mają interes, tak coraz szersze znajdują zastosówanie, że nie znamy fachu, zajęcia, specjalności, z któremi w pośrednim czy bezpośrednim związku oneby nie zostwały. Że zaś nie każdy może się im wyłącznie poświęcić, przeto wielkiéj wartości są w czasach dzisiejszych pedręczniki, któreby całokształt tych nauk obejmowały, a takim podręcznikiem jest właśnie *Księga Przyrody*.

— *Fotografje otrzymywane za pośrednictwem dymu z cygar.* Wynalazca cudownéj fotografji, znów uczynił w téj dziedzinie nowy wynalazek. Nową odmianę cudownéj fotografji stanowi piękna cygarniczka owalnego kształtu, na pierwszy rzut oka oklejona zwyczajnym białym papierem. Jak się zacznie palić cygaro z téj cygarniczki, to na niéj powoli występuje fotografja. Łatwo zrozumieć, że w tym wypadku atomy amonjaku znajdujące się w dymie odgrywają taką rolę, jak bibuła nasycona siarczanem sody we właściwéj tak nazwanéj cudownéj fotografji.

— *Gavarni.* W tych dniach umarł w Auteil pod Paryżem sławny rysownik Gavarnii, który pod względem dowcipnego pomysłu swoich karykatur, nie ma bodaj równego sobie na całym świecie. Urodził się on w 1801 roku z rodziców wyrobników. Zrazu oddał się zawodowi mechanika, a rysunku uczył się tylko w szkole bezpłatnéj. Od r. 1834 zaczął wprost dla zarobku rysować figury do dziennika mód, i wówczas to przybrał nazwisko Gavarni, zwał się bowiem rzeczywiście Sulpicjuszem Pawłem Chevalier. Od tego to czasu talent jego został oceniony, a rysunki Gavarniego do najwyższego stopnia były poszukiwane. Jakoż rzeczywiście, tyle jest tam werwy, myśli i talentu, że rzadko który, a może nawet i żaden rysownik mu nie wyrówna. Tak to praca i talent, zdolne są człowieka z najniższych szczebiów społeczeństwa, na sam jego szczyt wyprowadzić. Z prac jego najbardziéj są upowszechniane illustracje do bajek Lafontaina.

— *Marszałek.* Szanowny Redaktorze! Zaciekawiony gorliwą uroczystością ślubną odbytą w jednéj z dzielnic przez Starozakonnych gęsto zamieszkających, przyłączyłem się do orszaku wiodącego pannę młodą pod baldachinem, gdzie na nią już czekał pan młody; na czele tego orszaku postępowała muzyka grająca marsz z Córki Regimentu, którą poprzedzał Starozakonny wybijający takt na janczarce a właściwie na tamburynie (bębeneczek z dzwonkami). Tego jakoby Naczelnika, nazywano *Marszałkiem.* Tytułem tym uderzony, zapytałem jednego i drugiego z orszaku co to właściwie znaczy Marszałek, ale zapytani pomimo najlepszéj chęci nie mogli mnie w tém objaśnić, głównie dla tego zdaje się, iż wyłącznie zajęci uroczystością: „toć go pan widzisz! odpowiadano mi krótko, tego tam z janczarką”. Otóż postanowiłem korzystać z chwalebnéj gotowości Szanownéj Redakcji dania różnych odpowiedzi na różne jéj zadane zapytania, prosząc o objaśnienie mnie, co to znaczy Marszałek na weselu u Starozakonnych?

Prenumerator Opiekuna Domowego.

Z przyjemnością dajemy naszemu Prenumeratorowi żądane objaśnienie, z którego, jak sądzimy, nie jeden korzystać będzie.

Wiadomo, iż w dawnych czasach i dotąd jeszcze po dziś dzíéń u mieszczan na prowincji jest zwyczajem, iż do uroczystości weselnych wybierają jednego z przyjaciół nowożeńców, którego nazywają Starostą i którego obowiązkiem jest zaproszenie na wesele i utrzymanie porządku. Otóż Starozakonni którzy wszędzie naśladują zwyczaje krajowców, u nas także obmyślili ustanowić do swoich wesel i ślubów kogoś podobnego Starostom weselnym chrześciańskim i nazywali go *Marszałkiem*, dla podobieństwa w funkcji z Marszałkiem utrzymującym porządek na obradach sejmowych.

Na Marszałków takich sposobią się ludzie obdarzeni dowcipem, znajomością ludzi i ksiąg religijnych i przyjmowani bywają za odpowiednią zapłatą do wszystkich uroczystości ślubnych, obowiązkiem ich jest zarządzać wykonaniem licznych obrzędów zwyczajowych przy ślubach się odbywających, które dla duchownych z stanowiska ścisło-religijnego są obojętne: oni kierują zabawami i tańcami zwyczajowemi, głównie zwracając baczność na kobiéty, aby porządku nie psuły; przed odbywaniem właściwych religijnych obrządków objaśniają ich znacznie, pobudzają swoje audytorjum do płaczu lub śmiechu stósownie do tęgo jak okoliczności wymagają, chwalą cnoty nowożeńców, ich piękność, rozum, dostatek i sypią pochlebstwa ich rodzicom i krewnym, rabinowi i znaczniejszym gościom, wywodząc to z imion osób do których się odnoszą, wziętych zwykle z Pisma Świętego, a wszystko to w żargonie żydowsko-niemieckim w improwizowanych, rymowanych, odśpiewywanych z towarzyszeniem muzyki i swojéj nierozłącznéj janczarki.

Słowem Marszałek taki, przedstawia rodzaj błazna przy dworach królewskich w średnich wiekach, a zarazem mistrza obrzędów i kaznodziei i jest jednym z najniezbędniejszych czynników wesela u żydów, żyjących jeszcze podług starych zwyczajów i zapisywanym jest niekiedy z odległych miast.

Takich trzech Marszałków z Galicji przybyłych, od kilku miesięcy dawali przedstawienia teatralne co wieczór kolejno na Grzybowie i na Nalewkach. Posługiwali się oni swoją zepsutą niemczyzną, którą także w rymowanych improwizacjach karcili zabobony i przesądy ludu, a głównie szarlatanów, którzy korzystając z głupoty jego, udawają iż posiadają moc wyzwolenia u Boga wszystkiego co klienci ich sobie tylko życzą. Sale widowiska tego były przepełnione słuchaczami różnych klass ludności żydowskiéj, a nawet i ucywilizowanych, którzy równie jak i obecni chrześcianie, już nie pojmowali dokładnie wszystkich dowcipnych zwrotów mowy w które marszałkowie ci obfitują, dla tego, że wychowani zostali za obrębem życia i obyczajów ludu żydowskiego.

— *Djabeł.* Opowiadają o pewnym djable którego chciano wypędzić z opętanego, iż nie mając ochoty ustąpienia usiłowaniom exorcysty, odpowiedział mu następnym hexametrem:

„Signa te signa temere me tangis et angis”.

(Krzyżuj się, krzyżuj, bezskutecznie mnie pokrapiasz i dręczysz.)

Prawdziwie djabelski to wiersz, bo czytany z prawéj ku léwéj tak samo brzmi jak z lewéj ku prawéj stronie, co ma znaczyć przestrogę przez djabła daną exorcyście, iż z żadnéj strony złapać się nie da.

Djabeł t. j. złe namiętności, w saméj rzeczy jest stałym w swojéj złości i nie opuszcza tak łatwo opętanego t. j. człowieka złego charakteru pomimo wszelkich exorcyzmów t. j. napomnień i rad poczciwych ludzi, ku nawróceniu jego używanych.

— *Dobra decyzja.* Skutkiem pojawienia się w jednym z departamentów Francji znakomitéj liczby wilków, wielu z merów (wójtów gminy) zwróciło uwagę prefekta (Rządca departamentu) na tę okoliczność, prosząc o radę jak postą-

pić w tym wypadku. Prefekt wydał następującą decyzję: „Wypędzić wilki do innego departamentu!”

— *Robaki w chlebie.* Niedawno jeszcze ogólna uwaga tak u nas, jak i w całéj Europie zwróconą była na trichiny i to tak dalece, że zdawało się iż mięso wieprzowe a przynajmniéj wędlina, zupełnie wyjdzie z użycia. Gdybyśmy tak surowo chcieli postępować ze wszystkiém co służy nam na pokarm, możebyśmy byli wkrótce zmuszeni przynajmniéj w Warszawie, obchodzić się bez chleba. W chlebie bowiem warszawskim, a właściwie w mące z któréj go wypiekają, znajdują się robaki mniéj może szkodliwe jak trichiny, ale to pewne że obrzydliwsze od nich. Kilkakrotnie już słyszeliśmy skargi i zażalenia na przekupki Starego Miasta, że przedają chléb razowy z robakami, długo jednak nie mogliśmy przypuścić, aby podobne nadużycia w dziewiętnastym wieku miejsce miéć mogły. I tém więcéj w tém mniemaniu byliśmy utwierdzeni, że lubiąc ten chléb, jedliśmy go często, nigdy jednak żadnego *corpus delicti* w nim nieznajdując. Gdy w tém, przed kilku dniami rozłamując kawał chléba, spotrzegamy cóś białego; przypatrujem się, i któż opisze nasz wstręt, gdyśmy ujrzeli grubego na parę linij a długiego na pół cala robaka. Toż samo powtórzyło się jeszcze parę razy, a gdy obrzydziwszy taki chléb, kupiliśmy inny z nieco cieńszéj mąki w podłużnych bułkach, drożéj nieco się przedający, i tu to samo znaleźliśmy. Nie wchodząc w zoologiczne zdeterminowanie tego robaka, zwracamy uwagę publiczną na tę zniewagę (bo inaczéj nazwać tego nie umiemy) wyrządzaną uboższym mieszkańcom Warszawy. Nie dość że za chléb potrzeba przepłacać, nie dość, że nie zawsze dobrze jest wypieczony, trzebasz jeszcze spożywać go ze wstrętem i obrzydzeniem. To już wszelką cierpliwość przechodzi, to do najwyższego stopnia oburza! Nie obwiniamy tu przekupniów, bo taki towar przedają jaki sami nabędą, ale cała odpowiedzialność spada na tych panów, co mące dają zależeć się i zarażoną robactwem sprzedają na użytek publiczny. Nie wymieniamy tu nazwisk tych panów w nadziei że się poprawią, ale jeżeli artykulik niniejszy, żadnego nie sprawi skutku, solennie przyrzekamy podać do wiadomości powszechnéj ich nazwiska.

ZAGADKI.

1. Czemu zamyka kogut oczy gdy pieje?
(Bo umie dobrze swój śpiew na pamięć.)



Żubr—(do str. 5téj).

2. Co czyni bocian gdy na jednéj nodze stoi?
(Trzyma drugą nogę wzniesioną do góry.)

3. Jeżeli się spotkają kominiarz z młynarzem i pobiją, a potem się przed sąd zaskarżą, który z nich sprawę wygrać powinien?
(Młynarz, bo ma czarno na białem.)

Myśli i Zdania.

— Niesądźcie się surowo.... Chrystus potępił tylko złe, ale złych ludzi lepszémi chciał uczynić. Nie wszyscy zbrodniarzami byli dla tego, że wielkiéj cnoty nie mieli.

—........skromnymi bądźcie tam, gdzie o gościnność prosić musicie. Jeśli nieszczęścia wasze pojmują, niechciejcie aby rozumieli zasługi wasze.

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj—Redaktor Adam Mieczyński.